

WITOLD MACKIEWICZ

Uniwersytet Warszawski

## MOJA DROGA DO FILOZOFII

**Trudne początki.** Przyszedłem na świat 14. 10. 1941 roku, w samym środku wojny. Wioseczka Rejki, gmina Pręczi, powiat Rypin. Matka wkrótce zapadła na gruźlicę i zmarła w trzecim miesiącu mojego żywota. Wychowała mnie babcia i nieletnia ciotka Genowefa. Ojciec przymusowo pracował w Rzeszy w ramach programu *Arbeit Macht Frei*. Działań wojennych nie pamiętam. Wspominam jednak uciekające na zachód wojska niemieckie oraz goniących je Rosjan, czemu towarzyszyło obustronne, pieczołowite łupienie naszego domostwa ze wszystkiego, co wojownikom wpadło w ręce.

Po wojnie ojciec osiadł w Czaplunku na Pomorzu. Tam też zostałem zapisany do szkoły podstawowej oraz przystąpiłem do Pierwszej Komunii. Po kilku latach przeżyłem kryzys światopoglądowy, którego skutki trwają do dzisiaj. Dręczyły mnie następujące wątpliwości: Bóg, stwórca wszelkiego istnienia, ma na swoim koncie nie tylko zasługi, ale także ponosi odpowiedzialność za niedoskonałości różnych istnień. Dlaczego stwórca, nieskończona dobroć zaowocowała takimi makabrycznymi doświadczeniami jak wojny, choroby, głód itp.? Dlaczego Najwyższy Majestat, przewidując „bunt aniołów”, zaakceptował istnienie zła nie tylko na Ziemi, ale i w nadprzyrodzoności? Godzi się taka niefrasobliwość istocie ze wszystkich miar doskonałej?

Uznałem zatem, że teoria o nadludzkim powołaniu Wszechświata jest taką samą baśniową fantazją, jak przekaz o figlarnych przygodach Zeusa, boga Greków, który do swoich igraszek otwarcie (?) się przyznawał. Takie i podobne wątpliwości dręczą mnie do dzisiaj. A kto wątpi, ten nigdy nie zazna spokoju sumienia. Za zwątpieniem idzie bunt, pragnienie samodzielnego myślenia, a stąd już niedaleka droga do sprzeciwu, braku subordynacji, zarzewia chaosu i samowoli. W szkole tępiono takie zachowania różgą, linią czy wskaźnikiem do map. W domu, na specjalnym wieszaku, nieustannie czuwała nahajka z pięcioma rzeźmieniami, zawsze gotowa do użycia. Bezlitosna, pruska droga wychowania.

Stosowanie kar cielesnych utrzymywało się w szkole przez wiele lat. Jeden z nauczycieli, matematyk (pan Józef Daniuk), ze względu na kościstą posturę zwany przez uczniów „Miczurinem”, miał swoją sprawdzoną metodę dyscyplinowania, zwłaszcza chłopców: były to soczyste, bolesne kuksańce kierowane w okolice żeber. Pewnego razu, niesiony weną sprzeciwu, ułożyłem rymowaną nuconą na popularną wówczas melodię *Na lewo most, na prawo most...* Jedna z koleżanek, niezwykle zapobiegliwa, przekazała wychowawczyni kartkę z tym tekstem, a potem, wiadomo, całe grono pedagogiczne zanosilo się od śmiechu. „Miczurin” nawet odwiedził ojca i przyrzekł, że więcej nie będzie maltretował dziatwy szkolnej. Jednak ojciec, zwolennik pruskiej kindersztuby, nie przyjął i nie oczekiwał takich obietnic. Oto ten tekst:

Kiedy rano idę do tablicy  
 „Miczurin” mi mówi tak:  
 Rozwiąż mi zadanie na równanie,  
 A ja na to, że nie wiem jak.  
 On wtedy powiada: „Idź na miejsce precz,  
 nie potrzebuję takich uczniów mieć!”  
 I jego mina jest groźna,  
 sierpowego chce mi zadać...  
 Oj. „Miczurin”, nie zaczynaj,  
 O tym nie ma tu co gadać.  
 Obojętnie powracam do ławki  
 i do fizyki robię ściągawki.  
 Bo dobrze wiem, i ty to wiesz:  
 Że mam dwójeczkę z „matmy”, ty też, o le!

Wierszyk, niezależnie od mojej woli, spowodował ograniczenie kar cielesnych w szkole; tak to poezja, nawet podwórkowa, idzie własnymi koleinami i kształtuje świadomość społeczną skuteczniej niż inne, zwłaszcza restrykcyjne rozporządzenia.

**Rewolucyjne posunięcie dydaktyczne.** Podstawą oceny ucznia było tzw. odpytywanie oraz sprawdzanie zawartości zeszytów szkolnych. Nie wiem, czy z lenistwa, czy z innych pobudek uznałem, że uczeń winien

być kształcony w taki sposób i tylko z takiego zakresu, który mu w przyszłości przyda się w życiu. Nie będzie jednak przez lata zaglądał do notatek szkolnych, bo zapisane zeszyty zawsze były sprzedawane na makulaturę, a wiedza użyteczna winna pozostać w głowie tak, jak tabliczka mnożenia i alfabet. Wiadomości wykraczające poza program nauczania, albo zapomniane, można odzyskać z podręczników, słowników, leksykonów, poradników, encyklopedii itp. Zdolny uczeń to nie ten, który zamęcza swój umysł pamięciową katorgą, ale ten, który wie, gdzie takich wiadomości szukać. Mało zdolny, chociaż pilny, wkuwa wiadomości na pamięć. Zapytany – otwiera buzię i ani be, ani me. (Mój ojciec, satrapa nieprzeciętny, miał pewną pozytywną zaletę: z pobudek snobistycznych gromadził okazjonalne, ozdobne wydania polskiej literatury pięknej, zwłaszcza romantycznej. Ponadto po drugiej stronie ulicy mieliśmy dostęp do bogatych zasobów Biblioteki Miejskiej w Czaplinku – jak na małą miejscowość, były to okoliczności niezwykle korzystne).

Słuszność mojego ówczesnego poglądu zweryfikowało następujące wydarzenie. Nauczyciel od fizyki (pan Marian Badziongowski) wywołał mnie do odpowiedzi i zażądał, abym zaprezentowałem mu swój zeszyt. Zeszytu nie miałem, ale – odparłem – mogę przynieść, mieszkaliśmy około 300 metrów od szkoły. Uzyskałem zgodę nauczyciela, popędziłem do domu, i w całkowicie nowym i nieużywanym zeszycie odtworzyłem z pamięci kilka, 5 lub 7, ostatnich lekcji – z tematami, datami, zagadnieniami, rysunkami, ze wszystkim, co było niezbędne. A nie muszę zapewniać, że fizykę lubiłem jako przedmiot w miarę ciekawy.

Gdy wróciłem do klasy, nauczyciel poddał mój zeszyt szczegółowej lustracji: sprawdzał zapisy, kolejność tematów, odrobione zadania domowe i inne szczegóły. Kręcił głową z podziwu, ale w końcu przyznał, że zeszyt jest w należyтым porządku. Mój sukces był powszechnie podziwiany w klasie, jednak nikt nie odważył się pójść tą drogą. Natomiast, o dziwo, znalazł uznanie w oczach wychowawczynie. Na uroczystości związanej z zakończeniem roku szkolnego były wręczane nagrody za bardzo dobre i dobre wyniki w nauce. Nagle dyrektor szkoły wyczytał moje nazwisko. Nie wiedziałem o co chodzi, toteż trwożliwie zacząłem się rozglądać, szukając u innych ratunku. Wkrótce mój wzrok padł na oblicze naszej pani wychowawczynie, która zanosila się od śmiechu (na-

zwisko tej pani: Janina Czyżowa). Pan dyrektor ponownie wyczytał moje nazwisko, a ja nadal stałem w miejscu jak wryty, czekając na jakąś reprimendę. Jeden z kolegów z całym rozmachem wypchnął mnie z szeregu, ja zaś byłem bliski totalnej katastrofy, bo o mało nie „zaryłem” nosem o ziemię. Tak, mówiąc oględnie, niesławnie zakończyłem swoją podstawową edukację nurkując w nieznanie.

**„Młodości, ty nad poziomy wylatuj...!”**. Zgodnie z wolą ojca, po złożeniu egzaminów wstępnych zostałem przyjęty do Technikum Ekonomicznego w Złocięncu, Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Przedmioty tam realizowane, zwłaszcza zawodowe, w ogóle mnie nie interesowały, toteż moja nauka była usiana brukowym kamieniem. Zwłaszcza, że nadal kultywowałem swoją rewelacyjną metodę pozyskiwania wiedzy: tylko to, co mnie interesowało, czyli właściwie nic, albo niewiele. Największe zaciekawienie wzbudzały we mnie poezja Adama Mickiewicza, matematyka oraz... wychowanie fizyczne. Utwory Mickiewicza są jak dobre piosenki, wpadają w ucho i uczą o dawnej ojczyściej kulturze. Matematykę ceniłem za logiczny sposób dowodzenia, zaś do wychowania fizycznego nikt nie musiał mnie namawiać. Ćwiczeniom fizycznym poświęcałem też najwięcej wolnego czasu, a w niektórych sprawnościach osiągnąłem szkolny prymat, na przykład w lekkiej atletyce. Przy moich nikczemnych warunkach (jak mówiono, „metr pięć w kapeluszu”), miałem być z czego dumny.

Wszelako wyniki w nauce osiągałem przeciętne: średnia z oceny za zeszyt oraz za odpowiedź, czyli z reguły dwójka i piątka dzielone przez dwa. Ciekawych lekcji słuchałem z uwagą, nieciekawych z uwagą umiarkowaną, czas poświęcając tworzeniu wierszyków, które rozsyłałem koleżankom jako płomienne manifesty miłości mej ku nim.

Pewnego dnia polonistka (pani Celina Świeżawska) zarządziła sprawdzian pisemny z tematu dotyczącego twórczości Adama Mickiewicza. Myślę sobie tak: pisanie o tym, co znam doskonale, to żaden wysiłek, sprawa trywialnie prosta. Trzeba umieć i chcieć sięgać wyżej, przełamywać bariery, zrobić coś nietypowego, jakiś donośny strzał z piekielnym wybuchem. Jak uczył mistrz: „Łam, czego rozum nie łamie...”. Niewiele myśląc, napisałem na kartce kilka słów uzasadnienia

swojego wyboru, a następnie „wysmaliłem” hymn ku czci Narodowego Wieszcza. Oto ten tekścik:

O, Wodzu Narodów  
Bez epoletów i bez buławy!  
Dzisiaj Twe imię wynoszę  
Powyżej niebios, na szczyty sławy.  
Tyś nas nauczył czytać,  
Tyś nas nauczył mówić,  
Za swą poezją jak za pochodnią płonąca  
Wiodłeś narody...

Całuję Tve oczy, Tve ręce, Tve skronie  
Składam w ofierze swą pierś gorącą  
U Twoich stóp,  
Na Twoim – Mocarzu – tronie!

Oczekiwałem niewiele, ot, skromnej aprobaty i podobnej oceny, jak zwykle skromnej. Jednak polonistka napisała na tej pracy: „Nie podejmuję się oceniać tego utworu. Z klasówki ocena niedostateczna!”.

To było definitywne ukoronowanie i zakończenie moich literackich poszukiwań. Z małym wyjątkiem. Z okazji balu zwanego „studniówką”, przygotowałem swoje „wyznanie” dozgonnej więzi z dziatwą szkolną na melodię, śpiewanego wówczas, przebojowego utworu *Kaczuszka i mak*.

Gdy wszedłem na progi obecnej tu szkoły  
Od razu powitał mnie nastrój wesoły  
Przyjazne uśmiechy i gesty przyjazne  
Zapraszały mnie.  
Belfrowie pytają: „Podoba ci się tu?  
Więc sprawuj się grzecznie i nie rób fermentu,  
Bo w razie przeciwnym będziemy musieli  
Czule pożegnać się”.

I wszyscy wkrótce mnie tu polubili  
Co roku z łezką w oku tak prosili:

Ach zostań, ach zostań na jedno jeszcze lato  
Już wszyscy ci jesteśmy i braćmi i siostrami  
Dyrektor jest przecież jak dobry, czuły tato  
Ach zostań jeszcze lato, bo tak już musi być!

Więc chodzę do szkoły już kilka lat z kupą  
I czaszka obrosła mi wiedzy skorupą.  
Lecz mnie od przybytku dziś głowa nie boli  
Na to rada jest...  
To ręka, to noga w bandażu się chowa  
A przecież nie może być gorsza i głowa  
Bo palec i główka to nasza wymówka  
Ostoja zdrówka!  
I wszyscy ciągle ze mną się zgadzają  
Co roku taki refren powtarzają:

Ach zostań, ach zostań na jedno jeszcze lato  
Już wszyscy ci jesteśmy i braćmi i siostrami  
Dyrektor jest przecież jak dobry, czuły tato  
Ach zostań jeszcze lato, bo tak już musi być!

Lecz przyszła matura, edukacja się kończy  
Być może los nas już na zawsze rozłączy  
I tylko przeżycia i miłe wspomnienia pozostaną nam.  
Lecz nie, wy nie myślcie, że ja już uciekam  
Ja jeszcze na młodszych kolegów poczekam  
No bo **solidarność** być musi w narodzie  
Więc zostaję tu.  
I żeby to nie była próżna mowa  
Przypomnę wszystkim stare znane słowa:

Zostaję, zostaję na jedno jeszcze lato  
Już wszyscy mi jesteście i braćmi, i siostrami  
Dyrektor jest przecież jak dobry, czuły tato  
Zostaję jeszcze lato, bo tak już musi być!

**Dygresja niechronologiczna.** Słowo **solidarność** wytłuszczam wspólnie, bo stało się ono przyczyną mojego późniejszego, bardzo boleśnego upadku duchowego. Miał on miejsce w 1981 roku, w dwudziestą rocznicę ukończenia szkoły. W gromadce około dziesięciu osób spotkałiśmy się w Szczecinie, w mieszkaniu jednej ze szkolnych koleżanek. Pośród popisów wokalnych wykonałem piosenkę z moich lat szkolnych i zapowiedziałem, aby słuchający jej koledzy zwrócili uwagę na słowo **solidarność**, bo to ja rzuciłem w naród ideę jej powstania, nie zaś kto inny. Myślałem, że wszyscy poznają się na żarcie. Kiedy wokalnie dotarłem do słowa **solidarność**, twarz jednej z koleżanek spąsowiała i zmieniła kolor na barwę nie do opisaną. Po zakończeniu piosenki owa koleżanka o imieniu Danuśka, ostra działaczka ruchu spółdzielczego w Kołobrzegu, wypaliła: „Witek, nie chrzań, nie mogłeś w 1961 roku śpiewać tej melodii, bo ona powstała kilka lat później”. Widziałem, że na czole Danuśki pojawił się krwisty napis: „...no bo **opezetzet** być musi w narodzie...”. Zaprzeczyłem jej słowom przypominając, że po studniówce niektóre z koleżanek (obecnych także na tym szczecińskim spotkaniu) poprosiły mnie wówczas o słowa tekstu, wśród nich właścicielka mieszkania w Szczecinie. Nie mogłem powołać się na żaden argument rzeczowy, bo komputery z Internetem i informacją o roku powstania piosenki to kwestia kolejnych lat. W każdym razie nikt z obecnych wówczas osób nie odważył się powiedzieć, że Danuśka mija się z prawdą. W konsekwencji zostałem obwołany kłamcą lustracyjnym.

Po kilku latach znalazłem w Internecie informację, że piosenka *Kaczuszka i mak* powstała w 1959 roku, a w następnym nagrano płytę z wykonaniem Mieczysława Wojnickiego. Wydrukowałem tę informację i wysłałem w liście do jednej z koleżanek, którą darzyłem wyjątkowym szacunkiem. Halina Szalewska, bo tak się nazywała, była jedną z moich dwóch szkolnych muz (druga muza to Katarzyna Tomków).

Muza otworzyła kopertę, zapoznała się z zawartością i tę samą kopertę odesłała mi bez słowa komentarza. **Koniec dygresji.**

Wracamy do matury. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w moim pokoju odwiedziła mnie macocha i zaproponowała, abym poszedł do kościoła i podziękował Bogu za ukończenie szkoły. Odparłem: *z tą sprawą Bóg nie ma nic wspólnego. Niektórzy z moich kolegów, pobożni i oczekujący nadprzyrodzonego wsparcia, nie uzyskali go w najmniejszym stopniu.* Moja rozmówczyni poszła do ojca i złożyła szczegółowe sprawozdanie, a ten przyszedł do mnie i wygłosił takie oto *expose*: **synu, jeżeli ty nie uznajesz wiary naszych dziadów i pradziadów, to w tym domu nie ma dla ciebie miejsca!**

Po kilku minutach, wolny jak ptak, pobiegłem na dworzec kolejowy, by pojechać do Złocieńca, do kolegi szkolnego o nazwisku Eugeniusz Grozdow (późniejszy dziennikarz od spraw rolnych). Tam zatrzymałem się przez kilka dni. W okolicznych lasach pracowicie zbierałem czarne jagody, a mama Genka sprzedawała je znajomym gospodyniom domowym. Tak zarobiłem kilkadziesiąt złotych. W gazecie codziennej znalazłem ogłoszenie o naborze robotników niewykwalifikowanych do prac budowlanych w Gorzowie Wielkopolskim, w firmie „STILON”. Należy zgłosić się do biura w Szczecinie i załatwić niezbędne formalności. Jednak na wyniki badań lekarskich musiałem poczekać trzy dni. Akurat tyle, ile potrzebowałem na złożenie egzaminu wstępnego w Studium Nauczycielskim, kierunek historia. Wynik pozytywny. Początek zajęć w pierwszych dniach września, zatem miałem przed sobą dwa miesiące pracy w „STILONIE”.

Przez dwa dni i dwie noce włączyłem się po Szczecinie. Nocami spijałem resztki kwaśnego mleka z butelek gromadzonych w skrzynkach przed sklepami nabiałowymi. Podstawowym moim napojem była jednak woda kranówka, uzyskiwana w dworcowych toaletach. Żadnej innej strawy, toteż trzeciego dnia ledwo snułem się na nogach. Dotrwałem jednak do wyznaczonej daty, aby odebrać wyniki badań lekarskich. Na duchu trzymała mnie świadomość, że życie stoi przede mną otworem i tyle z niego uzyskam, co sam zdobędę.

Podróż do Gorzowa Wielkopolskiego nie trwała długo. Na miejscu, gdzie trzeba, złożyłem dokumenty, uzyskałem skierowanie do hotelu

robotniczego, kupiłem w miejscowym bufecie pół kilograma kaszanki, pół kilograma chleba, zaś do służbowego aluminiowego kubka zaczerpnałem pół litra ciepłej, służbowej, gorzkiej kawy „Turek” i przez dłuższy czas delectowałem się tym posiłkiem niczym wykwinłym, życiodajnym eliksirem.

W ostatnim dniu lipca, po przepracowaniu miesiąca otrzymałem wypłatę i prawie pijany ze szczęścia wykupiłem karnet na sierpniowe obiady. Część zarobku wpłaciłem na książeczkę PKO, a za 200 złotych kupiłem *Małą Encyklopedię Powszechną PWN*. Kto nie widział człowieka szczęśliwego, to niech żałuje. Ja, w pokoju hotelowym, przerywając na pryczy lekturę encyklopedii, co kilka minut zerkałem do służbowego lustra i stroiłem nieprzyzwoicie głupie i buńczuczne miny, śledząc namacalny dowód mojej ekscytacji życiowym sukcesem.

Następnego dnia jeden z kolegów wrócił do pracy po przerwie obiadowej i doniósł mi: „Witek, pani sprzątaczką widziała jednego z tych dwóch, co ich wczoraj zwolnili, jak z waszego parterowego pokoju wyskakiwał z jakimś pakunkiem za pazuchą. Może byś sprawdził, czy coś ci nie zginęło?”

Pobiegnąłem do hotelu jak strzała z napędem raketowym i – niestety – w podręcznej szafce stwierdziłem nieobecność mojej *Encyklopedii*. O fakcie i o podejrzanym osobach zameldowałem w pobliskim komisariacie MO. Funkcjonariusz przyjmujący meldunek z niedowierzaniem i natarczywie pytał: „To wam, obywatelu, skradziono książkę, a wy z taką sprawą przychodzicie do nas?”. Moje wyjaśnienia, że to pierwsza praca, pierwsza wypłata i pierwszy zakup w życiu – na nic się zdały. Milicjant radził mi, abym poszedł do księgarni, ponownie kupił sobie książkę, a Milicji Obywatelskiej nie zwracał głowy. Po raz pierwszy zetknąłem się z niepodważalną brutalnością życia i przez kilka nocy trawiłem w sobie tę smutną konstatację, tę niespodziewanie niszczycielską prawdę. Albowiem wewnątrz pękłem i moje zaufanie do drugiego człowieka zamieniło się w pyłek ulicznego kurzu. Innymi słowy, docierała do mnie bolesna wiedza, że człowiek człowiekowi może być największym wrogiem, a Milicja Obywatelska wcale nie jest obywatelska, tylko jej zadania wyczerpują się w obronie władzy przez obywatelami.

Z zachowanej sumy pieniędzy przewidzianych jako moje oszczędności, w księgarni wykupiłem subskrypcję wielotomowej, wówczas zapowiadanej Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN.

Uznałem, że stanęła przede mną wielka misja: świadomość ludzka wymaga naprawy i ja mógłbym się tego jakoś podjąć. Tylko jak tego dokonać? Ot, majaki nieopierzonego młokosa i niewiele ponad to. Jednak marzenia są bardzo potrzebne.

**Spotkanie z filozofią.** Program nauczania w Studium Nauczycielskim przewidywał obowiązek zaliczenia przedmiotu o nazwie *Historia filozofii*. Przedmiot ten w Studium realizował ówczesny magister Ludwik Janiszewski, socjolog spraw morskich, późniejszy zasłużony profesor marynista. Odniosłem wrażenie, że jego wykłady były dobrze konstruowane i rzeczowe, a przed nami otwierała się fascynująca, dotychczas nam obca dziedzina wiedzy. Osobiście odczułem wielką ulgę, bo serce gniołła mi jakaś tajemnicza tęsknota do tych spraw i problemów, która nurtowała mędrców od najdawniejszych czasów. Zwłaszcza, że w księgarni znalazłem wydaną w tamtych dniach książkę Boecjusza pt. *O pocieszeniu jakie daje filozofia*, wydanie PWN, wstęp Jana Legowicza. Z niecierpliwością oczekiwałem kolejnych tomów z serii „Biblioteka Klasyków Filozofii”. Ojcowska maniera gromadzenia książek nagle wzięła górę nad innymi, także snobistycznymi zamiłowaniem (na miarę studenckiego stypendium). Po ukończeniu Studium Nauczycielskiego wybrałem się do Warszawy. Znalazłem zatrudnienie w szkole podstawowej w Izabelinie jako nauczyciel historii. Wkrótce zdobyłem Indeks w Uniwersytecie Warszawskim, w Instytucie Filozofii przy Krakowskim Przedmieściu nr 3, łącząc pracę zawodową ze studiami dziennymi. W trakcie egzaminu wstępnego jedną z osób pytających był profesor Jan Legowicz. Rozmawialiśmy o Boecjuszu.

Gdy po trzech latach zostałem członkiem sekcji wyczynowej podnoszenia ciężarów w warszawskim AWF, moja droga życiowa została „z grubsza” ukształtowana. Resztę informacji o „niżej podpisanym” znajdziecie w moich książkach. Wbrew obiegowym opiniom, moim intelektualnym przewodnikiem stał się nie Friedrich Nietzsche, a Stanisław Leopold Leon Brzozowski, polski pisarz i filozof początku XX wieku.

**Moje zatrudnienie w IF.** Sprawa dotyczy dwóch osób: ówczesnego magistra Andrzeja Kasi oraz doktora Henryka Jankowskiego, etyka. Połączyły mnie z nimi dwa wydarzenia, w sposób szczególny. U Andrzeja Kasi, gdy byłem słuchaczem pierwszego roku, miałem obowiązek odbycia rozmowy zaliczeniowej na temat mojej rocznej pracy pisemnej z zakresu historii filozofii starożytnej i średniowiecznej. Moja praca dotyczyła książki francuskiego filozofa i teologa Jean'a Guittton pt. *Jezus*. W pracy tej francuski autor wiele uwagi poświęcił wyjaśnieniu swojego poglądu na temat stosunku św. Tomasza z Akwinu do mistycyzmu św. Augustyna, oraz wielu innych spraw związanych z rozumieniem, jak zawsze kontrowersyjnych, dziejów Chrystusa jako człowieka i jako twórcy określonej doktryny religijnej. Tematyka ta fascynowała mnie nad wyraz, zatem rozmowa toczyła się wartko i nadzwyczaj interesująco. W późniejszych latach moich studiów Andrzej Kasia, przy różnych okazjach, zawsze mnie faworyzował, niekoniecznie słusznie. Niemniej, fakt ten był źródłem moich niezaskuszonych mniemań na swój temat, a ponadto, jako jeden z pierwszych, Andrzej został moim kolegą.

Z profesorem Henrykiem Jankowskim zawsze łączyły mnie jedynie relacje ściśle merytoryczne. Na piątym roku uczestniczyłem w seminarium z zakresu etyki, gdzie prezentowałem fragmenty swojej pracy magisterskiej (*Etyczne aspekty filozofii pracy Stanisława Brzozowskiego*). W trakcie jednego z takich posiedzeń wdałem się w polemikę z kolegami i kolegami, i ciągle ją przedłużałem dowodząc, że jeszcze to, i jeszcze tamto wymaga wyjaśnienia. W pewnym momencie profesor Jankowski przerwał moje poczynania i rzekł: *panie Mackiewicz, jak się panu wydaje, kto prowadzi to seminarium: pan czy ja?* Zawsze później wspominałem to wydarzenie w sposób szczególnie sympatyczny. Bo wiem właśnie ci dwaj panowie, całkowicie dla mnie niespodziewanie, wpłynęli na moje kilkudziesięcioletnie późniejsze życie zawodowe.

Po uzyskaniu dyplomu ukończenia studiów w Instytucie Filozofii UW (1969) podjąłem pewne kroki w celu uzyskania zatrudnienia zgodnego z moim nowym wykształceniem. Pierwsza próba była całkowicie nieudana. Zawiedziony, stałem oparty o ścianę przy drzwiach wejściowych do mojego Instytutu, z miną skazańca albo ofiary czekającej na ścięcie za pomocą gilotyny. Nagle usłyszałem głos Andrzeja Kasi: *Wiciu, co tak tu stoisz jak straceniec? – No właśnie, co pan tu robi, czeka pan na jakiś wyrok? –* zapytał doc. Jankowski. Opowiedziałem, co mnie spotkało. *Pojechałem do mojej drugiej uczelni, do Akademii Wychowa-*

nia Fizycznego, z którą byłem związany zawodniczo jako członek wyczy-nowej sekcji podnoszenia ciężarów. Byłoby dobrze, gdybym tam właśnie podjął pracę; treningi cztery razy w tygodniu, do tego mieszkanie w domu asystenckim, stołówka, wszystko na miejscu. Niestety, kierownik Zakładu Filozofii w AWF urządził mi egzamin sprawdzający: przepytał mnie ze znajomości... „Manifestu komunistycznego”. Po trzech dniach mam pójść po jego decyzję. Jednak już tam nie pójdę, bo uznałem, że w taki sposób filozofii nie chcę uprawiać, pod okiem takiego dydaktyka.

Docent Jankowski zapytał: *A u nas złożył pan podanie o zatrudnienie?* Odparłem, że nawet o tym nie myślałem, za wysokie progi. *Co pan opowiada, proszę szybko złożyć podanie, i to biegiem!* – *No właśnie, biegiem!* – dodał Andrzej Kasia.

**O partii politycznej.** Gdybym miał rozsądnie odpowiedzieć na to pytanie, to mógłbym mieć kłopot. Aczkolwiek nie wypada mówić, że nie wiem dlaczego wstąpiłem do PZPR, więc moja odpowiedź będzie taka: w klasie maturalnej zapytano nas, kto chciałby się zapisać do Partii. Zgłosiły się cztery osoby: dwie koleżanki, owe Muzy, kolega Genek i ja. Nie wiem, czym się kierowali inni, ja bowiem byłem „naładowany” zapiekłą nienawiścią do ojca, który manifestował swoją pobożność, podczas gdy w życiu rodzinnym był niepospolitym bluźniercą i łotrem. Z bratem musieliśmy uciekać się do chytrych sposobów, aby ojca zwieść w zakresie życia po swojemu: chociaż nie chodziliśmy do kościoła na niedzielne nabożeństwa, to mieliśmy swoich informatorów. Ojciec w kościele wypatrywał nas i śledził, a po mszy odpytywał w domu z tego, co ksiądz mówił na kazaniu. Nie udało się ojcu nas przechytryć, a jego zacietrzewienie w tym zakresie i śmieszyło nas, i irytowało. Jak większość mieszkańców Czaplinka, był też wrogo nastawiony do panującego porządku politycznego. Takie były źródła mojego wyboru, infantylne i niepoważne. Jednak jakieś były.

W parze z nimi szło moje przekonanie, że ja nie będę łotrem, nie będę chodził krętymi ścieżkami, a tzw. władza ludowa podoba mi się, bo takie były – sądziłem – źródła niepodległości i bohaterskie uwolnienie narodu spod hitlerowskiego jarzma. Codzienna obecność oficerów Armii Czerwonej była sporadyczna i sprowadzała się do handlu z ojcem wyrobami ze złotego kruszcu, co mnie ani nie raziło, ani nie zniechęcało. Kontekstu historycznego o innym wymiarze nie znałem, natomiast lubiłem czytać utwory literackie opiewające męstwo radzieckiego żołnierza, na równi z podobnymi dokonaniem czerwonoskórych Indian i udręczonych niewolnictwem Murzynów. Cezura między ludźmi złymi

i dobrymi była wyraźna, a dodatkowo utrwały ją skoczne piosenki traktowane jak własne, rodzime (np. „jarzębina czerwona”, „ech, ta droga tonie we mgłach”), chwytające za serce wierszyki „Murzynek Bambo”, „Mister Twister” itp. Jednak znałem już problem związany z oceną rosyjskiego narodu oraz oceną elit politycznych, rosyjskich i polskich, oficjalną propagandę i zapewnienia o nieugiętej przyjaźni, współpracy i braterstwie. Wiedziałem, że każda nowa ekipa partyjna i rządowa „jeździ do Moskwy po wskazówki”, a powszechna wiedza o takiej zależności wzmacniała niechęć narodu, niezadowolenie i pragnienie zmiany. Nie byłem jednak gotów na to, aby otwarcie wystąpić przeciwko takiemu ówczesnemu „paradygmatowi”. Ufałem, że o biegu spraw przesądzą, prędzej czy później, oba narody, polski i rosyjski, a nie partyjna i polityczna „wierchuszka”. Zwłaszcza, że wśród członków Partii, jak i w całym społeczeństwie, obecna była powszechna wiedza o dwóch świadomościach: oficjalnej i prywatnej. Na obowiązkowe pochody pierwszomajowe chodziło się tylko po to, aby ktoś odnotował moją obecność, a w kolumnie zawsze zostawali tylko aktywiści partyjni i ci, którzy szczerze podziwiali towarzyszy Gomułkę, Jaruzelskiego, Gierka i innych. Na działalność partyjną nie miałem ani chęci, ani czasu, nadmiar obowiązków wymusił inny porządek rzeczy i inne „paradygmaty”. Toteż o wewnętrznej walce o władzę w latach 70. i 80. słyszałem tylko „z oddali”, a autentyczne życie partyjne w moim Instytucie, w którym uczestniczyłem, miało wymiar towarzyski, z reguły zabawny.

Moje bliskie i zaprzyjaźnione koleżanki z roku, Maria Kulak i Czesława Opara, znalazły w antykwariacie przedwojenne wydanie *Myśli* Blaise Pascala, w przekładzie Boya Żeleńskiego. Na stronie tytułowej wpisały sympatyczną dedykację i wręczyły mi tę książkę – z okazji moich imienin. Scenę tę obserwował Piotr, nasz kolega z roku, pryncypialny ideologicznie i organizacyjnie, uczeń i zausznik magistra Biernackiego, pracownika naszego Instytutu, wszędobylskiego i dyspozycyjnego aparaczyka, zdeklarowanego przeciwnika i wroga wszelkiej wolnej myśli. Piotr zbliżył się do mnie posuwistym krokiem i zapytał, czy mógłby na kilka dni pożyczyć owego Pascala, bo czeka go egzamin z filozofii nowożytnej. Zapewnił, że książkę zwróci w stanie nienaruszonym. Oczywiście, prośbę tę spełniłem, ale zwrotu książki nie mogłem się doczekać, chociaż upływały miesiące.

Pewnego dnia musiałem załatwić jakąś sprawę w Domu Studenckim na ulicy Kickiego. Przy okazji zajrzałem do pokoju, w którym mieszkał towarzysz Piotr. O dziwo, czytał jakieś swoje notatki więc ucieliśmy sobie krótką pogawędkę. Kątem oka dostrzegłem w regale moją książkę Pascala. Wyjąłem ją i pytam Piotra, dlaczego nie zwraca mi książki?

Przy okazji przekartkowałem kilka pierwszych stron, ale tej z dedykacją – nie znalazłem. Pytam więc Piotra, co stało się ze stroną tytułową, bo wyraźnie widać, że została usunięta. Pryncypialnie partyjny kolega odparł: „...widzisz kolego, przeprowadziłem skrupulatną analizę ideową i doszedłem do wniosku, że ta książka powinna trafić do mnie, a nie do ciebie”. Zamurowało mnie do cna. Chciałem powiedzieć coś brzydkiego, bo na myśl przyszedł mi pewien obrzydliwy robal, pasożyt. Nie powiem, co to za stworzenie; każdy czytelnik ma swoją skalę wrażliwości, proszę więc, aby czytający te słowa obsłużył się sam w zakresie wyszukania ulubionego nazewnictwa jakiejś szkarady.

Podobne zdarzenie miało miejsce w trakcie narady bojowej kilku towarzyszy, profesorów reprezentujących poszczególne Wydziały Uniwersytetu. Debatowano o stosownej reakcji uczelnianej organizacji partyjnej na studencki strajk. Mały pokoik, kłitka 2 na 3 metry, większość ćmiła papierosy, zaduch nie do zniesienia. Na karteczce, którą podałem prowadzącemu to spotkanie napisałem, że najuprzejmiej proszę o zaprzestanie palenia, nie każdemu taka „atmosfera” służy. Przewodniczący zaprezentował moją prośbę, zaś reakcja jednego z obecnych, bodaj reprezentanta Wydziału Filologii Polskiej, była oto taka: „To można nie oddychać”. W sposób nad wyraz gwałtowny przyszedł mi na myśl ów parszywy gad organizacyjny identyfikowany z kolegą Piotrem. Jednak wybrałem bardziej wyrafinowany sposób zemsty: bez słowa opuściłem to towarzystwo, jak i wszystkie pozostałe, późniejsze towarzystwa towarzyszy.

Tematyka partyjna zaprzątnęła moją uwagę jeszcze dwukrotnie. Na spotkaniu uniwersyteckiej braci, bodajże członków Związku Nauczycielstwa Polskiego, debatowano o kryzysie politycznym po rozwiązaniu PZPR. Zabrałem głos i kilkusetosobowej gawiedzi zaproponowałem, z pełnym przekonaniem, że (byłe już) czynniki partyjne wyszłyby z twarzą wobec społeczności akademickiej, gdyby zdecydowały się na przekazanie siedziby byłego KC, zwanej „białym domem” – Uniwersytetowi Warszawskiemu, na potrzeby dydaktyczne i badawcze. Zapadła cisza, zapewne z powodu powszechnej konsternacji, ale po kilku sekundach rozległ się donośny, żabi rechot. W taki sposób upust dla swojej wesołości uzewnętrznił historyk dr Jan Trynkowski. Na korytarzu zaś pewien głęboko nieszczęśliwy kolega jęknął ku mnie ostatkiem sił swojego partyjnego jestestwa: „nie wiedziałem, że potrafisz być zdrajcą” (Aleksander Obrębski, jak sięgam pamięcią, w środowisku zwany „Pepikiem”).

Wcześniej, połączone organizacje partyjne Instytutów Filozofii oraz Nauk Politycznych UW radziły, w jaki sposób ukarać krnąbrnych

studentów, którzy mieli być relegowani ze studiów za wykroczenia wobec władz uczelnianych podczas strajku w 1968 roku. Propozycje były na ogół zgodne z tym represyjnym stanowiskiem. Nagle podano mi jakiś karteluszek, był to pomięty bilet jednorazowego przejazdu środkami komunikacji miejskiej. Na tym bilecie kolega Piotr napisał: „chciałbym usłyszeć twój głos”. Głośno odczytałem treść listu, a następnie przedstawiłem swoje stanowisko, które już wcześniej zaprezentowałem na zebraniu egzekutywy partyjnej Instytutu Filozofii. Oto one: „Studentów nie należy karać, bo padli ofiarą wewnętrznych rozgrywek tzw. «góry partyjnej», walki o wpływy i stanowiska zwolenników Mieczysława Moczara z jednej strony oraz Edwarda Gierka z drugiej”. Nie muszę ukrywać, że byłem z takim poglądem odosobniony. Dodałem jednak, że jeśli towarzysz Piotr będzie chciał nadal ze mną korespondować, to powinien wykorzystać bilety MZK, ale niekasowane. (Na sali ogólna wesołość). Po spotkaniu Piotr precyzyjnie się w moją stronę i wyrzucił z siebie: „Ty mylisz fronty!”.

**Uwagi o działalności sportowej i innej.** Już wiadomo, że przez cały okres studiów pracowałem w Szkole Podstawowej w Izabelinie. Od trzeciego roku studiów byłem członkiem zespołu AZS AWF w podnoszeniu ciężarów. Dwa lata później, jako pracownik naukowy otrzymałem przydział mieszkaniowy w hotelu dla młodej kadry naukowej na Osiedlu Przyjaźń, Jelonki na Woli. Wkrótce wstąpiłem w związek małżeński z Grażyną, z domu Michalską. W przeciągu trzech lat los zesłał nam dwóch synów, Krzysztofa i Marka. Jako ojciec, rozpocząłem starania o lokal mieszkalny w drewnianych domkach na Jelonkach, ale ze stałym warszawskim zameldowaniem. W tych domkach niegdyś mieszkali Rosjanie, „darczyńcy” zatrudnieni przy budowie Pałacu Kultury i Nauki.

Po kilku latach prowadzenia sekcji podnoszenia ciężarów, włączonej wkrótce do rozgrywek (w ramach warszawskiej ligi okręgowej), otrzymałem przydział rodzinny na Ursynowie, mieszkanie czteropokojowe, 85 m<sup>2</sup>. To był wielki sukces, chociaż starszy syn nieustannie chorował na zapalenie oskrzeli i anginę (pozostałość po wilgotnych Jelonkach). Zrezygnowałem z pracy w Izabelinie, a podobny ekwiwalent finansowy uzyskałem z tytułu prowadzenia sekcji ciężarowej w zaadaptowanych do tych celów drewnianych pomieszczeniach w jednym z domków studenckich. Oczywiście, po pięciu latach kontaktów z AWF wycofałem się ze współpracy z tą uczelnią, koncentrując się na pracy w klubie sportowym „Przyjaźń”. Jako prezes tego klubu, miałem dostęp do sprzętu i obiektów sportowych, z kortem tenisowym i pełnowymiarowym boiskiem piłkarskim włącznie.

W Instytucie Filozofii ogłosiłem nabór do sekcji piłki nożnej po to, aby móc rozgrywać mecze piłkarskie, czy to przeciwko naszym studentom, czy przeciwko pracownikom bratniego Instytutu Socjologii UW. W każdym roku graliśmy mecze w systemie wiosna – jesień. Było wiele radości z tych rozgrywek; wokół boiska często gromadziły się panie sekretarki z obydwu Instytutów, czy też niektórzy profesorowie, zapamiętałe biegający z chorągiewkami wzdłuż linii bocznych i odgwizdujący auty. Niezwykle prężnie działała także sekcja judo pod kierunkiem kol. Krzysztofa Harasimowicza, który jednak wkrótce „za chlebem” wyemigrował do Ameryki Południowej.

Wszystko wszak, choćby miało nieskończenie radosny wydźwięk, kiedyś się kończy. Studenci ciężarowcy poddani surowemu wymogowi rotacji, zwłaszcza po ukończeniu studiów, wracali do swoich pieleszy rodzinnych bądź szukali pracy w Polsce czy poza jej granicami.

Jednak pewien fakt, tragiczny w wymiarze moralnym, przyczynił się także do zaprzestania rozgrywek piłkarskich. Oto gramy przeciwko socjologom, którzy zmobilizowali swoje najlepsze siły z zamiarem „dokopania” filozofom. Z braku profesjonalnych kadr, od strony sędziowskiej mecz prowadziła nasza młoda magister, jak mnie pamięć nie myli, pani Magdalena Paciorek-Sobótko. Jeden z naszych, grający na linii ataku, przedarł się przez obronę przeciwnika i nieuchronnie zmierzał z piłką w kierunku ich bramki. Z całą determinacją obserwujemy tę scenę, nasz gracz na dużej szybkości prowadzi piłkę przy nodze i za chwilę będziemy mieli tę jedyną zwycięską bramkę, gdy nagle... sędzia główna Magdalena odgwizdała spalonego na naszą niekorzyść. Jako kapitan, wołałam na całe gardło: „spalonego nie ma, nasz zawodnik miał piłkę przed sobą!!!”. Na nic moje wysiłki, w odpowiedzi słyszałem: „To ja jestem sędzią, a ja nigdy się nie mylę!”. Przyznam, jeszcze po wielu latach, że żadna kobieta nie upokorzyła mnie tak głęboko i tak boleśnie. Czasem pytam samego siebie pod nosem, kto nam przeniósł stolicę do Warszawy? i dodaję: „...*bo się zaraz tutaj zjawią butne miny święte słowa i głupota która aż naprawdę boli*”.

Oczywiście, w tym co mówię jest wiele megalomanii, bo także dodam, że nieco później sędziowałem bieg Mariana Woronina, który na stadionie „Polonii” ustanowił rekord Europy na sto metrów z czasem 10,00 sek. Od Grażyny Rabsztyń otrzymałem w prezencie jej kolce do biegów krótkich, idealnie pasujące na moją stopę; przebiegła 100 m przez płotki w rekordowym czasie 12,36 (ja zaś jako czterdziestolatek przebiegłem wówczas 400 m w czasie 62,03 sek.).

Mieszkając od roku 1978 na Ursynowie, zaciągnąłem się do Warszawskiego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki. Ukończyłem tamże

kurs sędziowski i nieomal w każdą niedzielę sędziowałem zawody lekkoatletyczne każdego szczebla, mistrzostw świata nie wyłączając. Małżonki nie udało mi się wciągnąć do tych zajęć; inni koledzy sędziowie oraz koleżanki sędziny na takie kilkugodzinne imprezy przychodzili bardzo często ze współmałżonką jako sędzią bądź opiekunką dzieci, jeśli pogoda umożliwiała odbywanie takich eskapad. Jednak po kilku latach i ta działalność musiała odejść do lamusa: żona poświęciła się wielce zajmującej praktyce polegającej na zapraszaniu do naszego mieszkania znajomych ze studiów (zaocznych, kierunek pedagogika), w celu dzielenia się uwagami na tematy przeróżne. Raz nawet próbowano zaprosić mnie do udziału w takiej sesji, ale bez skutku. Gdy po kilku latach mieliśmy finalizować swoje prace naukowe, ja habilitacyjną oraz żona magisterską, nie zdołaliśmy uzgodnić, kto i w jakim zakresie ma się zajmować obowiązkami domowymi. Różnica zdań była tak przemożna, że i „działalność małżeńską” trzeba było rozwiązać.

Ostatnia dekada dwudziestego wieku, w moich doświadczeniach, zapisała się jako czas zdecydowanie zmitrężony. Kierownik mojego Zakładu uznał, że musi mnie wyszkolić na „chłopca na posyłki”, w obrębie światowo zakreślonego przedsięwzięcia zwanego „uniwersalizmem”. Także bez skutku. Toteż z pełną odpowiedzialnością mogłem, obok zobowiązań służbowych, poświęcić się redagowaniu półrocznika „Edukacja Filozoficzna”, który z mojej inicjatywy powstał w 1986 roku. Natomiast w roku 1997 udało mi się zarejestrować to czasopismo w sądzie, przy wsparciu ówczesnego Rektora UW, prof. dr hab. Włodzimierza Siwińskiego, jako ogólnopolskie czasopismo Uniwersytetu Warszawskiego.